

TYGODNIK KATOLICKI

PISMO RELIGIJNE DLA ZIEM ZACHODNICH

Rok VI

Gorzów n/W., niedziela 10 czerwca 1951 r.

-Nr 20

Modlitwa Ciała Mistycznego

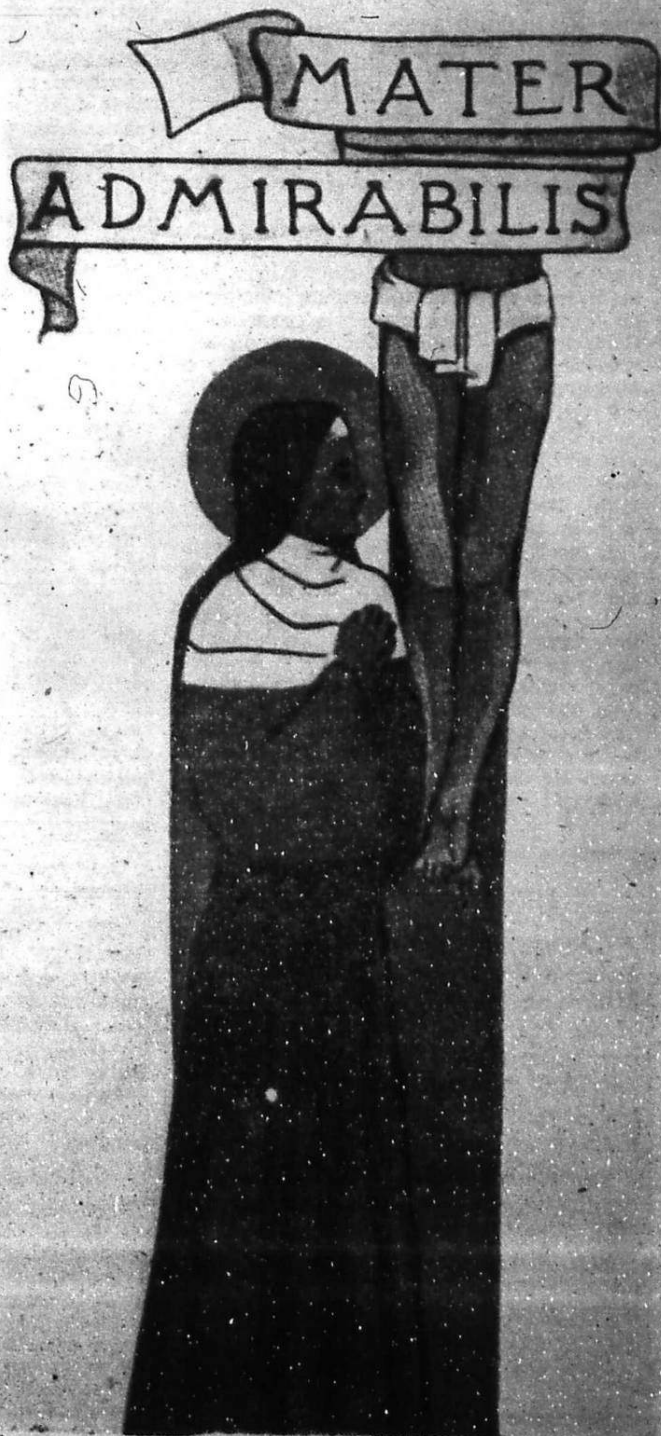
Ze strony Boga przewody łaski są wielkimi środkami zjednoczenia Jego z nami; ze strony człowieka środkiem tym jest modlitwa. W najszerszym znaczeniu jest ona zwróceniem życia ku Bogu; w szczególnym znaczeniu jest rozmową człowieka z Bogiem. Umysł zatopiony w Bogu przyjmuje w milczeniu Jego wypowiedzi, a wola idzie ku Bogu w miłości. Wiemy od mistyków, jak daleko sięga ta rozmowa. Dzięki szczególnym łaskom Bożym modlitwa kontemplacji daje świadomość bezpośredniej obecności Boga, nie tak, jak dusze w niebie widzą Go umysłem, lecz przez odczucie i zakosztowanie Go w bezpośredniej więzi miłości. Niektórzy święci mówili, że w więzi tej mieli świadomość troistości osób w Bóstwie.

Lecz nawet w najwyższej intensywności ten ruch duszy indywidualnej do Boga nie jest pełnią modlitwy; ponieważ człowiek nie jest jednostką izolowaną, bo wszyscy ludzie złączeni z Bogiem są wzajemnie ze sobą złączeni, w modlitwie, tak jak w samej jednostce, musi być element społeczny. Mogą się ludzie modlić oddzielnie, bo każdy ma swe własne, niekomunikatywne „ja”, ale muszą również schodzić się na modlitwę wspólną. Wynika to i stąd, że człowiek bytuje w solidarności rasy ludzkiej. Lecz osiąga ona nową głębię w jedności Ciała Mistycznego. Istnieje modlitwa całego Ciała Mistycznego, modlitwa zanoszona przez Chrystusa jako Głowę Ciała i składana jako jego własna modlitwa; byłoby straszliwym zubożeniem naszego życia w Ciele Mistycznym nie uczestniczyć świadomie w tej modlitwie. Modlitwa prywatna chrześcijanina, czyli jego rozmowa z Bogiem, jest istotna, chociaż i w niej chrześcijanin modli się ze swego miejsca w Ciele Mistycznym; lecz modlitwa liturgiczna, modlitwa samego Ciała Mistycznego, jest również istotna. Obie są Bogu miłe i przez obie chrześcijanin wzrasta.

Szczytowym punktem modlitwy Ciała Mistycznego jest ofiara Mszy św. To co Chrystus uczynił dla ludzi na ziemi — czyni nadal przez Kościół; Chrystus uczył, odpuszczał grzechy, ożywił, udzielał Ducha św.; to samo czyni nadal przez Ciała Mistyczne. Lecz spośród wszystkich Jego czynności na ziemi jedna była celem Jego przyjścia na świat — złożenie siebie w ofierze na odkupienie ludzi; i to Chrystus czyni nadal; jest to właściwy sens Mszy św.

Bo zauważmy czym jest akcja mszalna. Kapłan konsekruje chleb i wino tak, że przeistaczają się one w Ciał i Krew Chrystusa. Chrystus zabity ongi na Kalwarii, teraz na wieki żyjący, jest na ołtarzu: „Panem vinum in salutis consercramus Hostiam” — chleb i wino zmieniają się w ofiarę naszego zbawienia. Jego, który był dla nas zabity, ofiarowuje kapłan Ojcu celem zaaplikowania duszom ludzkim tego, co Jego męka i śmierć dla nas wyjednana. Kapłan jest tu używany przez Chrystusa tylko jako narzędzie. Rzeczywistym ofiarnikiem jest Chrystus. Jeszcze raz działa On przez ludzi. Ale Chrystus jest nie tylko ofiarnikiem, jest i żertwą ofiarną. We Mszy św. jak na Kalwarii Chrystus ofiarowuje się Ojcu za grzechy świata. Msza św. jest reprezentacją Kalwarii. Nie ma we Mszy św. nowego zabijania Chrystusa: najpierw śmierć nie ma nad Nim władzy, następnie zabijanie dokonywane we Mszy św. w jakiś sposób, wyprowadzałoby czynnik, którego na Kalwarii nie było, bo Chrystus nie zabił się sam, lecz był zabity przez swych wrogów. Fakt, że na ołtarzu jest Chrystus zabity na Kalwarii, wskazuje oddzielną konsekracją chleba, aby stało się Ciałem i wina, aby stało się Krwią. Istotą Mszy św. jest, że Chrystus ofiarowuje się Ojcu sam, On, który został zabity na Kalwarii.

W ten sposób Chrystus kontynuuje na ziemi to, co, jak wiemy, czyni w niebie: „Ponieważ pozostaje na wieki, ma wieczne kapłaństwo” (Zyd. VII, 24—25). Pośrednictwem to oznacza nieustanne stawianie się przed oblicznością Boga, Tego, który był dla nas zabity: „Chrystus bowiem wszedł do nieba, by stał na ziemi przed Bogiem” (Zyd. IX, 24). Apokalipsa ukazuje Chrystusa w niebie jako „Baranka stojącego prosto, jednak zabitego w ofierze”. Ncs! On na sobie jakieś ślady swego stanu ofiarniczego, nieumniejszającego Jego chwały, lecz do niej dodające.



MATKO PRZEDŻIWNA

Maza św. jest przenikaniem na ziemię ofiary, którą Chrystus składa w niebie nieustannie przez samą swą obecność. Zjedźmy jeszcze głębiej. Chrystus składa swą ofiarę w niebie w swym świętym człowieczeństwie; składa ofiarę na ziemi przez swe Ciało Mistyczne. Kapłan jest organem Jego Mistycznego Ciała, użytym do ofiarowania Chrystusa i do konsekracji. Lecz my jesteśmy zjednoczeni z Chrystusem w akcie ofiary tak realnie, jak kapłan. Stąd na orate fratres kapłan mówi do uczestników ofiary „aby moja i wasza ofiara”. Po konsekracji święty lud Chrystusa, plebs Tua sancta, jest wymieniony jako składający ofiarę czystą, świętą i bez zmyły.

Ponieważ jednak jesteśmy komórkami w Ciele Chrystusa, jesteśmy z Nim nie tylko jako ofiarnikiem, lecz i jako żertwą ofiary. Stąd św. Piotr przypomina: „Chrystus umarł raz za nasze grzechy, tak by mógł nas Bogu ofiarować” (I Piotr III, 18). Grzegorz Wielki przynagla, abysmy którzy święcimy tajemnicę męki, ofiarowywali się jako żertwy ofiarne. Do niebýwałej mocy dochodzi tu prosta prawda, że jeśli sami się nie ofiarujemy, Pan Bóg nie wzruszy się jakakolwiek ofiarą, którą Mu składamy.

Zegar i serce

„Drogi czytelniku, przypuszczam, że rozmyślasz zasadniczo przed krucyfiksem. Istotnie, nie ma nad grzechy, tak by mógł nas Bogu ofiarować” (I Piotr III, 18). Grzegorz Wielki przynagla, abysmy którzy święcimy tajemnicę męki, ofiarowywali się jako żertwy ofiarne. Do niebýwałej mocy dochodzi tu prosta prawda, że jeśli sami się nie ofiarujemy, Pan Bóg nie wzruszy się jakakolwiek ofiarą, którą Mu składamy.

Szept zegara ma rzeczywiście wstrząsającą siłę. W ciągu jednej godziny uderza około 17.160 razy, w ciągu dnia około 411.480 a w roku około 150.321.600 razy.

Ileż bezcennych chwil toczy się nieraz w moim życiu. Czy umiem je należycie spożytkować? Czy namyślałem się nad mądrym powiedzeniem: „Czas wszystko przynosi, ale też i wszystko zabiera?”

O wartości czasu napomina mnie jeszcze inny żywy zegar — serce. I oto odmierzając bez przerwy chwile mojego życia — 5.000 razy w ciągu godziny, 120.000 razy podczas dnia, 43.888.800 razy w roku. Czy docierają do mojej świadomości te głębokie i wymowne odgłosy? Czy zastanawiam się nad ich znaczeniem? Człowieku, korzystaj należycie z czasu!

MYŚLI KATOLICKIE

Czy nie zauważyłeś, że wchodząc do kościoła doznajesz dziwnego uczucia. Milknie instynktownie, aby słuchać głosu, który bez słów przemawia do twojej duszy. Czujesz, że ogarnia cię potęga i nieskończoność. Głębokie życie ożywia świątynię. Przebywa w niej ktoś Wielki. Poznajesz w Nim przyjaciela, którego obecność, choć niewidzialna, ale zupełnie realna, daje ci poczucie pokoju i bezpieczeństwa. Wiesz, kto jest tym utajonym Gospodarzem w kościele katolickim: to Ten, który chce przyciągnąć twą duszę do Siebie: to Jezus Eucharystyczny. (L)

Albert Mahaut.

Serce tęskni za nieskończonością

Specjalną funkcję spełnia w człowieku to uczucie i dążenie woli, które krótko zwieemy — sercem.

Posiada ono przedziwną zdolność dążenia w tęsknocie do nieskończoności. Już w dziecięctwie możemy zauważyć charakterystyczną cechę. Dziecko chce ciągle coś posiadać, co by mogło kochać i do czego mogło by radośnie wykrzykiwać. Lecz ledwie oddało się zabawie a już czuje przesyty. Z pogardą nawet porzuca przedmiot co dopiero tak umiłowany, tak uszczęśliwiający, tak zachwycający. I my starsi nie wiele różnimy się od dzieci.

Choć wprawdzie człowiek dorosły uczy się wielu rzeczy, niestety jednego uczy się za mało — panowania nad swoimi pragnieniami. Najmniejszy drobny potrafi zwichryć nasze serce, wtrącić w otchłań rozpacz, lub napęlić błogą nadzieją. Przez serce człowieka przetacza się od pierwszych dni dziecięcej świadomości aż do ostatniego tchu życia pasmo ciągłej pogoni za czymś, co by ostatecznie i w pełni mogło zadowalać, nasycać. To nieustanna pogoń za szczęściem.

„Niektórzy ludzie zdają się być tak dojrzałymi, tak wypogodzonymi, tak harmonijnie wyrównanymi, iż zda się, nie, ich nie wytrąci z równowagi. A jednak i ich dusza nie jest wiecznie spokojnym oceanem. Często ta zadziwiająca pogoda jest tylko pozornym spokojem zwierciadła morską podczas gdy w głębi wiecznie się burzy i kotłuje. Często spokój zewnętrzny jest tylko sztucznie zarzuconą zasłoną na nudą zblazowaną życie, które zakosztowało już wszystkich możliwych przyjemności — lub wymuszonym stoickim samoopanowaniem.” (Ks. P. Siwek).

Ludzi szczęśliwych w stu procentach mamy na świecie bardzo mało. Cokolwiek jest pełne i dobre, to wabi, to nęci magiczną siłą. Spieszę, pędzę, wyczerpuję wszystkie siły, poruszam wszystkie sprężyny, aby osiągnąć cel. Niestety pomiędzy ustami a brzegiem pułapu mieści się morze rozczarowań. I wówczas to serce, które miało być szczęśliwe, zdumione i zawiedzione biegnie dalej za innym snem, za czarownym motylem, który ucieka z kwiatu na kwiat. Świat jest piękny, tyle w nim dobra, a jednak szczęście liczymy tylko na chwilę, rzadko na godzinę.

Job sędziwy powiedział do wszystkich stworzeń:

„Nie jesteście jak tylko ozukaństwem; Maciel Chce być sam! Odciągam się na samotnie, aby sobie zbudować skromne, lecz spokojnie szczęście. Lecz nędra daje się jeszcze dotkliwiej uczuć. O, bo można wyprzeć się rodziny, ojczyzny, religii, swojego serca wyrzec się niepodobna. Można porzucić urzędy, zaszczyty, tytuły, własność swoje, ze swoim sercem zawsze pozostać się musi.”

Kiedy człowiek — powiedział hiszpański filozof Balmes — wszystko zamaci, wszystko zburzy, wszystko zniweczy, siebie samego jednak ciągle odnajduje, siebie samego, tego właśnie, który ma, burzy, niweczy. I kiedy doszedł do tego, że zwątpił o Bogu, o świecie, o innych ludziach i o ciele własnym, znajduje w samym środku tej nieskończonej samotności znowu siebie samego. Wysłenie całe, które czyni, by siebie samego zmieścić z oczu własnych, obraca się na to tylko, by jaźń własną tym widoczniejszą uczynić.

Sw. Augustyn prawdę tę wyraził mistrzowskim spostrzeżeniem: „Niespokojne serce nasze, o Panie, dopóty nie odpocznie w Tobie”. A de Maistre wyraził to tak:

„Nie wiem czym jest serce zbrodniarza; znam tylko serce uczciwego człowieka; jest ono okropne!”

Prawda, nie wszyscy przechodzą równie okrutne tragedie serca: im większy duch, im głębsza dusza, im szlachetniejsze serce, tym silniejsze bywa to przeżycie, o którym jest mowa. W każdym razie wszyscy przeżywamy pragnienie szczęścia. Stopień natężenia tych przeżyć zależeć będzie od właściwości człowieka. Wszyscy bez wyjątku chcemy być całkowicie i trwale szczęśliwi, szukamy nieskończoności i dlatego właśnie przedmiot naszych pragnień najgorętszych odziewamy w piękno Boskie. Wynosimy go ponad wszystko co nas otacza, przepajamy atmosferą religijnego kultu, bo chcemy adorować szczęście by żyć szczęściem. Dlaczego? Dlaczego ta udręka, dlaczego ta nuda nie gasnąca tęsknota, ta miłość, która oślepia?...

Pewnego dnia otworzą się nam oczy. Spostrzeżemy straszną ułudę. Wówczas z zgorzkniałych ust i ze zbolącej duszy wypłynie skarga, bo spostrzeżemy że nie przedmiot naszych marzeń jest tu winien lecz my sami.

O szczęśliwy, kto poruszony tym doświadczeniem, przylgnie całym sercem do Boga, piękna zdolnego nieskończenie mierzyć głód serca. Bez tej miłości żadna miłość nie może być nazwana miłością. Tu dopiero człowiek znajdzie źródło orzeźwiającej całej jego istotę ludzką: duszę i ciało. Będzie wówczas zdolny nawet stworzenia kochać miłością trwalszą, szlachetniejszą, czystsza i bardziej zadowalającą i uszczęśliwiającą. Serca nie można nasycić byle czym. Niespokojne dopóki nie odda się Bogu. Po to bowiem zostało stworzone.

K. Jedliński.

Józef Baranowski.

Moim pasterzem — Chrystus

Pasterzu serca mego
Nad strumień mnie poprowadź.
Niech pył z sandałów pielgrzymich
Zmyje źródłana woda.

Modlitwo, ty przyciszasz
Wlew burzy, smutku powiew — —
Jak znaleźć mi Pasterza,
Powiedz.

Moim pasterzem: Chrystus,
Który zamieszkał ze mną,
Jakże mi Go odnaleźć,
Gdy w sercu pustka i ciemność —

Modlitwo jesteś dla mnie
Muzyką wiatru i ciszą —
W tobie pieśń się rozakrzydła — —
Niech więc Twą pieśń usłyszę.

Niech wystrzeli jak promień,
Niech bliższy w kwiatach rosy,
Gdy świergotem jaskółek
Dźwięczą Twoje niebiosy.

Oto w szatach pielgrzymich
Chcę Twój krzyż dźwigać Panie.
Wyprowadź mnie z roztaju dróg —
W przedświt zmartwychwstania.

Praca w imię Boże

„Nauczycielu, przez całą noc pracując, nieśmy nie ulowili, wszakże na słowo Twe zapuszczę sieć”.

„Na cóż człowiekowi cała jego majętność, jeżeli nie posiada Tego, który mu wszystko da?” — powiada św. Augustyn.

Dla człowieka stworzył Pan Bóg ziemię i wypisał złotą kartę pracy, nakreślił plan, w którego ramach pomieszczą się wszystkie najgenialniejsze plany ludzkie; plan, którego realizacja zajmie ludzkości wieki i tysiąclecia całe aż do skończenia świata. Plan ten wyraził Bóg słowami: „Napełniajcie ziemię i czyńcie ją sobie poddaną!” W realizacji tego planu trzeba pamiętać o Bogu, zapewnić sobie Jego błogosławieństwo.

„Bóg błogosławić będzie wszystkim bogobojnym, małczkim zarówno jak wielkim” (Ps. 113, 13).

Warunkiem błogosławieństwa Bożego jest, by praca nasza była jak praca św. Piotra w imię Pana i na Jego słowo, aby pobudką trudu i znoju była chwała Boża i dobro ludzi, lepsze, jaśniejsze jutro ludzkości, dobrobyt ludu Bożego na ziemi.

Legenda opowiada, że pewien człowiek otrzymał czarodziejską moc i mógł wszystko zamieniać w złoto.

My ludzie wierzący i żyjący w stanie łaski uświęcającej mamy rzeczywistość, cudowniejszą jeszcze moc. Naszej pracy w imię Boże podjętej możemy nadać wartość wyższą od złota, wartość mającą znaczenie i uznawaną w zaświatach, wartość zasługi na niebo. Dobry i potężny Bóg chciał, abyśmy zwykłą pracą, którą zarabiamy na kawałek chleba powszedniego, mogli sobie równocześnie zasłużyć i na niebo. Trzeba tylko być w stanie łaski uświęcającej, pracę wykonywać su-

miennie w imię Boże i na Jego większą chwałę, przez dobrą intencję i chwile skupienia w przerwach i wychnieniach oraz odpowiednie akty strzeliste i pobożne westchnienia zamieniać ją w modlitwę.

Naszemu dziadom, pradziadom bardzo zależało na błogosławieństwie Bożym. Umieeli oni pracować w imię Boże. Błogosławieństwo niebios było gorącym pragnieniem ich serc. Błogosławieństwa Bożego życzyli wszystkim pracownikom i dawali temu wy-

raz, gdy spotykając człowieka pracującego mówili mu: „Szczęść Boże!”

Oby ten zapomniany coraz bardziej zwyczaj wszedł znowu w ogólne użycie! Szczęść, Boże, polskiemu robotnikowi, chłopu i inteligentowi! Niech błogosławieństwo Boże towarzyszy ich wysiłkom! Realizując plany ziemskie, niech umieją włączyć je w plan tysiącletni Boży wyrażony słowami: „Czyńcie sobie ziemię poddaną!” Przez dobrą intencję, stan łaski i miłość Bożą niech za zwykle, szare, codzienne zajęcia otrzymają błogosławieństwo Boże i zbierają zasługi na wieniec chwały i nagrodę w niebie.

Ks. Musiel Fr.

Józef Baranowski.

Modlitwa do Serca Jezusowego

Twój to miesiąc jest Chryste
Słonecznego lata.
Ześlij sercu pogodę,
A pokój dla świata.

Twój to miesiąc jest Chryste
Płomienny kwiatami
Serce Jezusa — miłosierdzia pełne
Zmiłuj się nad nami.

Bądź nam przykładem męstwa,
A w smutku — pociechą.
I odpuść nam nasze winy,
Daruj gniew i grzechy.

Tyś źródłem życia i celem,
A my Twą własnością.
Do dziś krwawi Twe serce
Ofiarą miłości...

Do dziś włóczęgą przebite
Serce gorejące —
Ogniskiem, w którym płonie
Życiodajne słońce.

W Którym dobroć bez winy —
Upragnienie świata.
Twój to jest miesiąc Chryste
Słonecznego lata.

Twój to miesiąc jest Chryste
W czerwcowych rozbiyskach —
Przywiedź do Twej przystani
Prawdy — serca wszystkie.

Ześlij pogodę ducha,
Roztęcz słońce w kwiatkach
Ześlij błogosławieństwa,
A pokój — dla świata.

Jezu nasz dobrośliwy,
Miłosierdzia wielkiego.
Uczyn serca nasze
Według Serca Twego.

EWANGELIA

NA NIEDZIELĘ CZWARTĄ
PO ZIELONYCH ŚWIĘTACH

(Św. Łukasz 5, 1—11)

Onego czasu: Gdy cisnęły się na Jezusa rzesze, aby słuchać słowa Bożego, On stał nad jeziorem Genenezaret. I ujrzał dwie łodzie stojące przy jeziorze, rybacy wyszli bowiem i plukali sieć. A wszedłszy do jednej łodzi, która była Szymona, prosił go, aby odjechał nieco od łądu. I siedząc nauczał rzesze z łodzi.

A gdy przestał mówić, rzekł do Szymona: Wyjdziesz na głębię i zapuścisz sieć wasze na połów. A odpowiadając Szymon rzekł Mu: Nauczycielu, całą noc pracując nieśmy nie złowili, wszakże na słowo Twoje zarzucę sieć. A gdy to uczynili, zagarnęli ryb mnóstwo wielkie, tak że się sieć rwała. I skinęli na towarzyszy, co byli w innej łodzi, aby przybyli i pomogli im. I przyszedli, i napełnili obie łodzie, tak że się prawie zanurzały. Widząc to Szymon Piotr padł do kolan Jezusowych, mówiąc: Wyniđz ode mnie, Panie, bom jest człowiek grzeszny. Na taki bowiem połów ryb, jakiego dokonał, zdumienie ogarnęło jego i wszystkich, co z nim byli. Także i Jakuba i Jana, synów Zebedeuszowych, którzy byli towarzyszami Szymona. I rzekł Jezus do Szymona: Nie lękaj się, odtąd już ludzi łowić będziesz. A wyciągnąwszy łodzie na łąd i opuściwszy wszystko, poszli za Nim.

LEKCJA

NA NIEDZIELĘ CZWARTĄ
PO ZIELONYCH ŚWIĘTACH

(Do Rzymian 8, 18—23)

Bracia: Sądzę, że utrapień czasu niniejszego ani porównać nie można z przyszłą chwałą, która się w nas objawi. Stworzenie bowiem z upragnieniem oczekuje objawienia synów Bożych. Stworzenie będzie wyzwolone z niewoli skazania na wolność chwały synów Bożych. Stworzenie bowiem poddane było znikomości nie ze swej woli, lecz dla Tego, który je znikomości poddał w nadziei, że i samo stworzenie będzie wyzwolone z niewoli skazania na wolność chwały synów Bożych. Bo wiemy, że całe stworzenie wdycha i aż dotychczas rodzi wśród boleści. A nie tylko ono, ale i my sami, którzy mamy pierwiastki ducha, i my także we wnętrzu naszym wdychamy, wyczekując przyzbrania za synów Bożych, odkupienia ciała naszego. w Chrystusie Jezusie, Panu naszym.

W zwierciadle sumienia

Czy rozciągasz swoją prawość nawet tam, gdzie cię nie dosięga przepis karny?

Czy umiesz nieść pomoc nawet wtedy, kiedy ci nikt za nią nie dziękuje?

Czy umiesz szanować cudze uczucia jak swe własne?

Czy odróżniasz w swym postępowaniu stanowczość od uporczywości?

Czy umiesz się uśmiechnąć nawet podczas pracy obowiązkowej?

Czy przenosisz dobroć nad litość?

Czy nie zapominasz często, że nie jesteś sam jeden na świecie, a zwłaszcza, że nad tobą jest Bóg?

RYSY JEZUSA

Przed wszystkim chciałoby się znać Jego twarz. Czyż jest możliwe wyobrazić sobie rysy tego Człowieka, budzącego w nas tyle uczuć, i ukochać je, jak kochamy rysy kogoś bardzo bliskiego? Tutaj zawodzą wszelkie informacje, a Ewangelia milczy uparcie. Starano się wyciągnąć jakieś wskazówki z tego ustępu św. Łukasza (XIX, 1-3), gdzie jest mowa o Zacheuszu, celniku z Jerycha, który usiłował zobaczyć Jezusa, a nie mógł z powodu rzęs: był bowiem małego wzrostu; ale rzeczywiście trzeba bardzo naciągać tekst, aby z niego wynioskować, że to Jezus był niskiego wzrostu: jest jasne, że przedmiotem zdania jest Zacheusz. Zresztą widzimy, że potem wdrapie się on na drzewo sykomora, aby zobaczyć Chrystusa. Równie nieuzasadnione jest twierdzenie, że Jezus był pięknej wspaniałej postawy, wysnuwając wnioski z takich ewangelicznych ustępów jak ten, który ukazuje nam jak jawno grzesznica i Maria Magdalena rozpoznały Go pośród biesiadników, chcąc Go namaszczyć wonnościami, albo ustępu gdzie widzimy jak kobieta z tłumu poznaje Go i oddaje Mu część (Łuk. XI, 27).

Jest oczywiście, że nie posiadamy żadnego portretu Jezusa wykonanego ręką ludzką, portretu, który byłby choć trochę zbliżony do rzeczywistości. Nie zmienia to faktu, że na przestrzeni wieków ukazywano wiele takich portretów. Jednym z nich miała być antyczna kamea przywieziona w epoce Odrodzenia z Konstantynopola do Rzymu; jej wpływ odnajdujemy w wielu obrazach Chrystusa ukazywanych z profilu. Obraz przypisywany Janowi Van Dyck i medalion pochodzący z XVI wieku, znajdujący się obecnie w Półtiers, z tej właśnie kamei czerpały, widocznie natchnienie, gdyż wykazuje z nią podobieństwo graniczące z tożsamością.

Różne tradycje mające wszelkie cechy legendy twierdziły niejednokrotnie, że portrety Chrystusa powstawały w cudowny sposób. Gdy Pan wstąpił do nieba, apostołowie prosili św. Łukasza, który był malarzem, by utrwalił Jego twarz, aby nie została zapomniana; przyszły ewangelista po trzech dniach modlitw i postów zbierał się właśnie do pracy, gdy właśnie na białej płaszczyźnie pojawiło się święte oblicze, utrwalone na niej sposobem nadnaturalnym. To znowu kobieta dręczona krwotokami stara się, by namalowano Tego, który ją uzdrowił, ale za każdym razem portret jest tak niepodobny do wzoru, że kobieta wpada w rozpacz; wtedy Jezus litując się przychodzi poprosić ją o posiłek, a wycierając sobie twarz płótnem wyciska na nim swój obraz. Każdy zna także piękną historię o Weronice — może ona i kobieta chora na krwotok, to jedna i ta sama osoba — która towarzysząc Jezusowi w Jego bolesnej i ciężkiej drodze na Kalwarię otarła chustą pot i krew z Jego twarzy i znowu na tej chustce pozostał niezatarty obraz świętego oblicza. W Moskwie w katedrze Wniebowzięcia przechowywano inne znowu święte oblicze: Abgar, król Edessy, namawiał Jezusa, by schronił się w jego państwie, a gdy nie mógł Go do tego skłonić, wysłał malarza, aby zrobił portret tego Człowieka, którego sława dotarła aż do niego; ale artysta olśniony blaskiem wcielonego Boga nie mógł zrobić nawet szkicu. Wtedy Jezus oparł swą twarz o płaszcz malarza i oto pozostał na nim obraz piękniejszy niż wszystko, co mogłaby uczynić ludzka ręka. Oczywiście — to wszystkie legendy. Ale i także wzruszające. Ich symbolizm jest jasny: jedynie w sercach tych, którzy Go kochają, wyciska Jezus swój obraz; opo-

wiedania te nie należą do historii, ale jak bardzo chrześcijańskie są z ducha.

Nie można też więcej wiary przywiązywać do świadectw tych wszystkich, którzy na przestrzeni wieków twierdzili, że przenoszą wiadomości o fizycznym wyglądzie Jezusa. Około roku 550 Antoni z Piacenzy odbył pielgrzymkę do Jerozolimy; po powrocie twierdził, że widział znak nogi Jezusa, noga miała być „mała i zgrabna”; na obrazie tym Chrystus był przedstawiony jako człowiek „średniego wzrostu, o pięknej twarzy, z włosami lekko kręconymi, o delikatnych rękach i wydłużonych palcach”.

W wieku VIII Andrzej z Krety oglądał — jak twierdzono — portret namalowany przez świętego Łukasza: Jezus miał na nim „zrosniętą brwi i wydłużoną twarz, głowę pochyloną, postawę kształtną”. Trochę później mnich grecki zwany Epifanem, mógł dać nam wiadomości szczegółowe: Twierdził, że Jezus miał 6 stóp wysokości, że nos Jego był wydłużony, cera „koloru zbóż”, brwi czarne, włosy rude, i że był bardzo podobny do swej matki! Nie więcej są warci jako świadkowie tych spraw Jan Damasceński żyjący w wieku VIII i Nikefor Kalist piszący w wieku XIV, ale powtarzający kroniki z wieku X.

Najdziwniejszym z tych wszystkich dokumentów jest pewien list Lentulusa; w wieku XIV cieszył się on wielkim powodzeniem ale wydaje się że przedtem miał być całkiem nieznanym. Rzekomy Publius Lentulus (?), który mieni się gubernatorem Jerozolimy (?) pisze do „Senatu i do ludu rzymskiego” (była to formułka republikańska i Tyberiusz nie byłby jej widział chętnym okiem) podając o zewnętrznym wyglądzie Jezusa szczególne niewątpliwie poetyczne, niektóre nawet pod względem psychologicznym dość uderzające, ale nie mające żadnych szans by być historycznie prawdziwymi. „Ma twarz czcigodną, tak że ci, którzy na Niego patrzą mogą Go równocześnie i kochać i lękać się Go. (to zdanie jest bardzo głębokie) „Jego włosy mają kolor dojrzałych orzechów laskowych, są aż prawie po uszy gładkie i opadają na ramiona. Ma świeżą cerę, nos i usta bez żadnej wady. Jego broda jest bujna tego samego koloru co włosy niezbyt długa i rozdzielona na końcu. Jest smukły, wysoki i prosty, ręce i ramiona są wspaniałe. Przy końcu autor listu wspomina pewien ustęp Biblii i to prawdopodobnie tłumaczy wszystko, gdyż cały opis był zapewne stworzony po to, aby usprawiedliwić powiedzenie psalmisty: „Piękniejszy urodą nad syny człowiecze (XLIV, 3)

Prawda została wypowiedziana przez wielu ojców Kościoła: św. Ireneusz z Lyonu, żyjący pod koniec drugiego wieku, ale sięgający poprzez św. Polikarpa do tradycji bardzo dawnych gmin efeskich, stwierdził poprostu: „cielesny obraz Jezusa nie jest nam znany”. Podobną niewiedzę wyznał św. Augustyn: „nie mamy pojęcia, jak wyglądała Jego twarz”. Jeżeli uprzytomnimy sobie, jak surowo przestrzegali Żydzi zakazu przedstawiania postaci ludzkiej, nie będziemy się dziwić, że nie istnieje autentyczny portret Jezusa; a oczekiwać takiego obrazu od prawdziwych świadków, ewangelistów, byłoby nieznaną ich psychologii i zapoznawaniem celów, w jakich pisali: czyż nie znamienne to, że jedyny opis Jezusa znajdujący się w czterech Ewangeliach — to opis Chrystusa chwalebego, Chrystusa podczas Przemienienia?

W tych warunkach jest rzeczą dość żalową podejmować dyskusję, chociaż ongiś w pierwszych wiekach była to dyskusja bardzo żywa, czy Jezus był piękny czy

brzydki. Zdania są podzielone. Justyn męczennik mówi, że „był bez piękności, niepozorny, nędzny z wyglądu”. Ireneusz (ten sam, który oświadczył, że cielesny obraz Jezusa nie jest nam znany) określał Go jako człowieka „wątlęgo”, Orygenes uważał że był „mały i niezgrabny”, Kommodiusz czynił Go „rodzajem niewolnika o wstrętnym wyglądzie”; niektóre legendy mówiły nawet, że był trędowaty. Inni znowu komentatorowie twierdzą z całym przekonaniem, że był piękny. Tak twierdzili Grzegorz z Nyssy, Jan Chryzostom, Ambroży, Hieronim i wielu innych. Nie na wiele się przyda zastanawiać dłużej nad tymi sporami, gdyż punkt patrzenia dawnych chrześcian nie ma nic wspólnego z naszym: oryginalność i charakterystyczne rysy nie interesowały ich bynajmniej. Głęboką prawdę wyraził Klemens Aleksandryjski pisząc: „Dla nas, którzy pragniemy prawdziwej piękności, Jedyne Zbawiciel jest piękny”, a w formie paradoksu to samo zapewne chciał wyrazić apokryficzne dzieje Piotra: „Był równocześnie i piękny, i brzydki”. Prawdą jest, że obie wersje starały się uzasadnić przepowiednie Pisma św.; jedni opierali się na tym wersecie z Psalmu XLIV, który cytuje pseudo-Lentulus: „Piękniejszy urodą nad syny człowiecze i rozlała się wdzięczność po wargach jego”, oraz na paru tym podobnych ustępach Pisma tak niekanonicznego; inni mieli w pamięci słynny rozdział LIII Izajasza, gdzie jest zapowiedziany Mesjasz cierpiący: „I widzieliśmy Go a nie było na co spojrzeć wzgardzonego i najpodlejszego z mężów, męża boleści i znającego niemoc: a jakoby zasłoniła twarz Jego i wzgardzona: skąd aniśmy Go mieli zacząć”. Były i inne teksty o podobnym wywidyżku, np. Psalm 21, gdzie Zbawiciel się skarży: „Przebodli ręce moje i nogi moje, policzyli wszystkie kości moje” i gdzie woła: „A jam jest robak a nie człowiek”. Te dwie przeciwnostawne koncepcje Mesjasza odnajdujemy na dnie owych estetycznych dyskusji, ale niewiele zyskuje na tym nasza znajomość rysów Zbawiciela.

A więc cóż nam pozostaje, by zaspokoić to oczekiwanie, które — tego zaprzeczyć się nie da — tkwi w głębi wielu chrześcijańskich serc? Pragnienie poznania cielesnej postaci Chrystusa jest czymś więcej niż uleganie pokusie czczej ciekawości; jest to bowiem w pewnym znaczeniu oddanie namacalnej czci temu, który będąc Bogiem zechciał wziąć na się postać człowieka, znosząc niejako zakaz dany Mojżeszowi dany przez Jahwe, by nigdy nie nadawał Murzów ludzkich. Pozostaje szutka, a O. Doncoeur ma rację, gdy ośmiela się pisać te przejmujące słowa: „w najpiękniejszym tego słowa znaczeniu Chrystus sztuki może być tylko Chrystusem wiary”. Jest to dla nas Chrystus najprawdziwszy, ten, który niszczy zasłony pozorów, by pozwolić nam dojrzeć promień swej wewnętrznej światłości.”

Od wielu już, conajmniej od XV wieków, ludzkość chrześcijańska starając się wypełnić lukę tekstów i dokumentów żądała od talentu, od geniuszu, by jej odtworzył rysy Boga, który się stał człowiekiem. Wierni pierwotnego Kościoła zadowalali się wprowadzić tymi skromnymi symbolami, jakich tak wiele widzimy w katakumbach i na dawnych sarkofagach: rybą, barankiem, winnym szczepem, kłosem zboża, ale bardzo niedługo widzimy już pierwsze obrazy Chrystusa; najpierw pod postacią Orfeusza uważanego za poprzednika Me-

Grób apostołski w Połudn. Zachodniej Afryce

Pamięci Ottona Fuhrmanna O. M. J.

Święte posłannictwo.

Wielka radość i wielkie cierpienie w życiu ludzkim często przeplatają się wzajemnie. Tak i dla Ottona po radosnej uroczystości prymicji szybko nadeszły gorzkie dni żałoby z powodu śmierci jego pobożnej matki Marii—Teresy. Umocniony w wierze poddał się niezbadanemu wyrokowi Boskiemu. Na modlitwie i gorliwych studiach zeszyły mu szybko miesiące dzielące go od ważnej chwili decyzji co do przyszłej działalności zawodowej. Podczas pobytu swego w Hünfeld w czerwcu 1923 r. w celu udzielenia święceń Ojciec General powiadomił go osobiście, że przypadła mu w udziale misja apostołska wśród pogan południowo zachodniej Afryki. Sercem pełnym entuzjazmu przyjął młody misjonarz to święte posłannictwo.

Pożegnanie rodzinnego kraju.

Niebawem wybiła godzina pożegnania. Poraz ostatni pozdrowił jeszcze swych najbliższych, zacisnął miejsce szczęśliwych młodzieńczych snów i radości młodzieńczych, dobrego ojca i drogie rodzeństwo, mogiłę matki. Z gorliwością i mocą wygłosił kazanie w starej czcigodnej świątyni swej wioski rodzinnej Niederzissen i zbudował wszystkich swą serdeczną modlitwą. Młody apostoł pogan godzinami trwał przed tabernakulum, głęboko pogrążony w modlitwie.

30 września w klasztorze w Hünfeld odbyła się kościelna uroczystość pożegnania dla wyjeżdżających misjonarzy O. Henryka Jacobi, O. Grzegorza Weilhöfera, O. Ottona Fuhrmanna i Brata Jana Kleemanna. „Jak piękny są na wzgórzach nogi tych, którzy głoszą pokój, opowiadają o zbawieniu”.

Poprzez oceany do kraju pogan.

W przeddzień święta św. Teresy od Dzieciątka Jezus parowiec Usarano opuścił Hamburg. Wsiedli nań z około 300 innymi pasażerami także i nasi misjonarze w celu odbycia cokolwiek ponad trzy tygodnie trwającej podróży morskiej. Przebycie przeszło dziesięć tysięcy kilometrów poprzez morza i oceany jest zawsze silnym przeżyciem. Bezkrzesne morze zbudziło w Ottonie przecucie bezkresu jego Stwórco. Obce kraje i narody przeciągają szybko przed oczyma, zezwalając na powierzchowne wejrzenie w ich obyczaje, właściwości i warunki życiowe. Cuda mórz, ich ryby i potwory morskie bawią wzrok. Zachodzące i wschodzące słońce nadaje morzu blask, jak gdyby samo stało się jaśniejącym słońcem. Wichry prowadzą swą niekiedy złoenną, niekiedy wspaniałą grę z potężnym oceanem. 25 października w zatoce rekinów wyładowali misjonarze na ziemi afrykańskiej.

Życie się z Afryką i życie ofiarne jako misjonarz.

Czterej przybyli misjonarze oczekiwani byli w Afryce z utęsknieniem. Radość z powodu ich przybycia była wielka. Pierwsza wojna światowa zahamowała w znacznym stopniu rozwój misji. Obecnie nowe siły miały dojść do już wypróbowanych misjonarzy, których liczba już nie wystarczała dla sprostania wszystkim wymogom.

O. Otton Fuhrmann pozostał przez parę miesięcy w Windhuk dla nauczania się języka plemienia Ovambo. Biskup Gotthardt

piśze o nim: „Muszę powiedzieć, że O. Fuhrmann napewno był świętym. Jego gorliwość nie miała granic, jak również jego duch poświęcenia i pokuty. Pewnego razu zauważyłem, że jeszcze o 1-szej w nocy palił światło i uczył się, wobec czego kazałem jemu kłaść się do łóżka nie później niż o godzinie 11-tej. Przed wyjazdem do misji w Tsumeb prosił mnie, abym mu pozostawił swobodę co do godzin nocnych, gdyż spocznę, jeżeli się będzie czuł zmęczony. Odpowiedziałem mu na to: „Posłuszeństwo jest lepsze niż ofiara”. Posłuszny był zawsze, chociaż wciąż na nowo chciał przekonać przełożonego, że posiada silne zdrowie i wiele wytrzymać może. Czemuż taka praca bez wytchnienia i taka gorliwość w studiach językowych? Uwaga na marginesie jego dziennika wyjaśnia nam to: „musisz umieć mówić i umieć wygłaszać kazania. Jest to twoim zawodem. Tu na ziemi chcemy porządnie pracować, świętować możemy w niebie.” W tym sensie rozumiemy także twierdzenie jego rektora, że napewno nie stracił nadaremnie nawet pięciu minut czasu.

Utworzenie nowej misji w kraju Ovambo.

Bardzo szybko nadszedł dla niego czas, w którym miał wyteńczyć wszystkie siły w celu założenia misji w kraju Ovambo, w Ukuambi, na terytorium plemienia wodza Ipumbu. Długotrwałe rokowania O. Prefekta utworowały temu drogę u władz. Od Ipumbu zezwolenie na założenie misji uzyskał doświadczony stary misjonarz Józef Schulte. Ciężar główny dokonania założenia misji z olbrzymimi trudnościami początkowymi i niebezpieczeństwami takiego przedsięwzięcia złożone być miały w lwiej części na barki naszego drogiego Ojca Fuhrmanna. Przypatrzmy się teraz przy wykonaniu tego wielkiego dzieła. O. Bücking piśze o tym: „Widziałem go jak 7 lipca 1924 roku z miłością i entuzjazmem udawał się na wozie misyjnym z Tsumeb do kraju Ovambo. Gdy podawałem mu rękę na pożegnanie — towarzyszyłem mu przez 7 kilometrów — rzekł mi promieniejąc radością: „Wyruszasz na nowy rozkaz i z nowym błogosławieństwem, które dziś rano uprosiłem sobie telefonicznie od O. Prefekta; św. Teresa od Dzieciątka Jezus będzie ze mną. Idę z radością, przyjeżdż i ty szybko.” Należało teraz przebyć 450 kilometrów afrykańskiego piasku i gęstwiny, pozbawionych wody na rozległych przestrzeniach, na wozie zaprzężonym w osły. Niezmierny wysiłek i trud dla ludzi i zwierząt. Żądny zbawienia dusz misjonarz potrzebował na to całego mie-

siąca i podczas całej drogi łączył z niesłabnącą gorliwością trudy podróży z nauczaniem czarnych i wspólną z nimi modlitwą.” Po przyjeździe trzeba było zbudować nową stację misyjną i przyzwyczaić się do języka i trybu życia ludu Ovambo. Pełen dobrych chęci zabrał się nieustrudzony misjonarz do dzieła; do nadejścia pory deszczowej w październiku, schron musiał powstać za wszelką cenę.

Gdy 18 października 1924 roku przybył do niego O. Hermann Bücking, aby podzielić się z nim pracą misyjną, O. Fuhrmann mógł go już wprowadzić pod ochronną strzechę.

Teraz obaj misjonarze mogli myśleć o intensywnej pracy misyjnej. Nadeszły święta Bożego Narodzenia i sprowadziły im ku ich radości także i chrześcijan z dalszej okolicy. Okoliczność ta skłoniła O. Fuhrmanna do udania się w podróż w dalsze okolice nowej stacji Ukuambi w celu odwiedzenia rozsiągniętych tam chrześcijan i dodania im sił. Okazało się, że przez utworzenie nowej stacji misyjnej powstał nowy, o dużym znaczeniu ośrodek religijny, udało się wielkie dzieło ku chwale Boskiej.

„Wszystko należy uczynić, aby rozszerzyć Królestwo Chrystusowe i zniszczyć królestwo szatana”.

Dla urzeczywistnienia tego ustępu z reguły Oblatów O. Fuhrmann wyteżył do tychczas wszystkie swoje siły. Obecnie, po olbrzymich ofiarach poniesionych przy założeniu misji w Ukuambi, zdawało się, że nadejdą spokojniejsze czasy stałego jej rozwoju. Lecz Bóg postanowił inaczej. Ojciec Bücking, rektor stacji, wracając 1 czerwca 1925 r. z podróży z Tsumeb, zastał swego współbrata Ottona zaziębionego i kaszlącego. Z choroby, która początkowo nie budziła obaw, wywiązało się zapalenie płuc, a gdy to zostało pokonane dzięki pełnej poświęcenia pielęgnacji jego współbrata, przypłatała się jeszcze ciężka malarria. Umieszczenie w lazarecie ewangelickiej misji w Onandjokue okazało się niezbędne. Transport przyczynił śmiertelnie choremu bardzo ciężkie cierpienia, które znosił wprost z bohaterką cierpliwością. Przy wschodzie słońca 16 czerwca wśród dziewiczej przyrody udzielił mu O. Bücking namaszczenia św. Olejami. 18 czerwca dobrnięto do lazaretu misji fińskiej. Tam chory znalazł miłe przyjęcie i troskliwą opiekę. Wszystko zdawało się przyjmować obrót na lepsze i O. rektor Bücking, pełen nadziei, wrócił do swojej stacji, gdzie obecność jego była nieodzowna.



W podróży misyjnej.

Jednak już 19 czerwca okazało się, że siły drogiego chorego wyczerpują się coraz bardziej. Chciał zaśpiewać „Te Deum”, prawdopodobnie w przeczuciu zbliżającej się śmierci. Nie mógł jednak wydobyć głosu. Cicho, z poddaniem się woli Boskiej i samotnie jak Zbawiciel na krzyżu oddał 22 czerwca życie swoje jako ofiarę za sprawę Jezusa Chrystusa i za zbawienie dusz.

Na cmentarzu w Onandjouke doznał przez O. rektora Bückinga łaski chrześcijańskiego pogrzebu. Jego ziemską powłoką pozostała tam aż do 16 lipca 1930 r. do chwili, gdy przez jego przyjaciela z młodych lat, znanego twórcę MIVA, O. Pawła Schulte OMI przy pomocy O. rektora Bückinga wydobyla i do Ukuambi przeprowadzona zo-

stała, i tam gdzie żył tak świętobliwie i gdzie działalność jego była tak błogosławiona uroczyste pochowanie zostało.

Ukuambi po dwudziestu pięciu latach.

O. rektor Bücking zakończył swoje przemówienie o świętobliwym O. Fuhrmannie następującymi słowami: „Niech pierwsza bolesna ofiara naszej młodej misji w Ovamba stanie się dla niej niewyczerpanym źródłem błogosławieństwa niebieskiego”. Widzimy, że życzenie to spełniło się w najobfitszy sposób. Ukuambi jest dzisiaj jedną z najbardziej kwitnących stacji misyjnych kraju Ovambo. Razem z zewnętrznymi stacjami liczy ona dwa i pół tysiąca chrześcijan. Zbudowany tam został jeden z naj-

piękniejszych kościołów Południowej Afryki. Zdawałoby się, że duch tego świętego kapłana i zakonnika działa tam nadal i przysparza błogosławieństwa. Udało się tam już na krótko po ustanowieniu misji na tym terenie założyć małe zgromadzenie czarnych siostr, którego początki wiele obiecują. Poza to śmierć ofiarna młodego misjonarza dała impuls do stworzenia MIVA, która przez dostarczenie środków lokomocji dla misji — i ostatnio dla Diaspory — uczyniła wiele dobrego. Tak śmierć ofiarna O. Otto- na Fuhrmanna jest potwierdzeniem słów Zbawiciela: że „Jeżeli nasienie padnie w ziemię i umrze, to daje owocu wiele”.

Johannes Russ OMI, Oberelchingen.

Dr Jan Ujda.

Św. Wincenty z Lerynu i nauka Kościoła o tradycji

Najważniejszym i najpoprawniejszym wyrazem nauki Kościoła o tradycji, przekazanym nam przez starożytność chrześcijańską, jest „Pamiętnik” (Commemoratorium) św. Wincentego z Lerynu, napisany w 434 r. i ogłoszony wówczas jako „Rzecz Peregryna (pielgrzyma) przeciw heretykom”.

„Pamiętnik” ten jest echem sporów i przedstawieniem zagadnień, roztrząsanych przez społeczność chrześcijańską pierwszych kilku wieków, a przede wszystkim na przełomie wieku IV i V nie tylko na terenie Galii, ale i całego prawie ówczesnego Zachodu. Autor tego „Pamiętnika” z pochodzenia Gal, późniejszy kapłan w klasztorze na wyspie Lerina, leżącej przy południowo-wschodnim wybrzeżu dzisiejszej Francji niedaleko Nicei, przeżył młodość burzliwą, pełną wątpliwości i nadziei, załamań i wzlotów. Przez długi bowiem czas — jak sam o sobie mówi — unosił go wir różnych bolesnych walk światowych, w końcu zawinął z natchnienia Chrystusa do najpewniejszej zawsze dla każdego przystani religii, uciekłszy przed zgłębieniem miast do ustronnej wioski, w której zamieszkiwał zaciśniętą celę klasztorną. Tutaj wsłuchany w szum fal morskich, rozbijających się o nadbrzeżne skały wysepki, oddychał spokojnym życiem religijnym i ku własnej pamięci, a także ku pouczeniu innych spisał w swym „Pamiętniku” to, co wiernie od świętych ojców przejął i przemyślał, zanim znalazł prawdę.

W poszukiwaniu tej prawdy wywiadywał się często usilnie i z ogromnym przejęciem u wielu świętości i wiedzy jaśniejszych mężów, przy pomocy jakiejś pewnej, a przy tym ogólnej i prawidłowej metody odróżnić mógłby prawdę wiary katolickiej od błędów przewrotnych herezji. Od wszystkich otrzymywał odpowiedź, że dla niewzruszonego wytrwania w zdrowej wierze trzeba do objawienia zawartego w Piśmie św. dołączyć powagę kościelnego rozumienia tradycyjnego; by zaś poznać prawdziwą tradycję katolicką, „trzymać się trzeba silnie tego, w co wszędzie, w co zawsze, w co wszyscy wierzyli” (II 3). Tak to doszedł pielgrzym leryński do odszukania prawdziwej tradycji, która ma się zawierać w powszechności, starożytności i jedności, innymi słowami problemem prawdy jest dla niego prawdomówność jedność w przestrzeni i czasie. Posługując się tą metodą, roztrząsa autor błędy całego szeregu ówczesnych i dawniejszych herezji i wszędzie przedstawia im ciągłą i niezmienną prawdę brzoną przez Kościół katolicki.

Dziełko Peregryna jest więc nie tylko „Pamiętnikiem”, ostatniej jego mozolnej i górnej pielgrzymki ku „Prawdzie”, przedstawiającym, w jaki sposób ją znalazł, czyli

jak się dokonało jego nawrócenie, lecz także drogowskazem dla innych pouczającym ich, jak mogą uniknąć różnych bolesnych walk duchowych i zawinąć do najpewniejszej przystani, znalazłszy drogę i cel życia.

Książeczka zaś Wincentego z Lerynu posiada bardziej może niż niejedno inne dzieło chrześcijańskie trwałą, nadszającą wartość. W wiekach średnich cieszyła się ona wielkim powodzeniem, a w czasach reformacji powoływano się na nią i korzystano z niej, gdyż właśnie na zasadzie, zachowanej przez reformację, opiera ona swoje kryterium prawdy katolickiej i porusza najżywniejsze zagadnienia wszystkim czasem wspólne, a dzisiejszym szczególnie bliskie. Dlatego też sobór watykański, zajmując się bardziej stosunkiem Objawienia do ludzkiej natury niż określeniem jego treści, przytacza w konstytucji dogmatycznej o wierze katolickiej wymienione wyżej słowa św. Wincentego, że „w Kościele trzymać się trzeba silnie tego, w co wszędzie, w co zawsze, w co wszyscy wierzyli”.

Rysy Jezusa

(Dokończenie ze str. 176)

szasza, potem pod postacią Dobrego Pasterza, który pochodzi wprost z Ewangelii; ale pierwsze te wyobrażenia zapożyczają jeszcze kształty od hellenistycznych efebów. Śliczny posąg z muzeum Laterańskiego, piękny sarkofag z Luwru ukazują nam tego Pasterza z odnalezioną owcą owiniętą dookoła szyi, ale estetyka tych rzeźb jest jeszcze dość pogańska i mocno przypomina pięknego Hermesa Kriofora „dźwigającego barana”.

Wpływy te nie prędko znikną; wydaje się, że pierwotnie obowiązywała tradycja, by przedstawiać Jezusa młodego, silnego, bez zarostu, ponieważ w świecie antycznym młodość była atrybutem bogów; przecież w katakumbach także i Noe, Job, Abraham i Mojżesz są przedstawiani pod postacią młodzieńców. I dopiero w piątym wieku wpływ bizantyjski narzucił ten typ przedstawiania Chrystusa, który do dziś dnia jest najbardziej rozpowszechniony w chrześcijaństwie; jest to obraz dojrzałego człowieka, o twarzy kęścistej, długim nosem i głęboko osadzonych oczach, włosy Jego są rozdzielone nad czołem i opadają na ramiona, a brązowa kręcona broda rozdziela się w dwa szpice. Przez jakiś czas oba typy istniały równolegle. Chrystus młodzieńczy, bez zarostu — to Bóg Uwielbiony. Ostatecznie zwyciężył ten ostatni. Dziś znajduje się wszędzie tam, gdzie dociera Krzyż.

Na tym zasadniczym tle haftowano bez końca. Dwa niebezpieczeństwa groziły te-

mu tradycyjnemu wyobrażeniu Jezusa: jednym był zbytby nacisk kładziony na „piękność pojętą tak bardzo po ludzku, że słowo to staje się tylko synonimem banalności i bezbarwności; ten kierunek każe czcić tłumom, a zbyt skłonny do podziwiania tego rodzaju „mydeł”, beznadziejne obrazy, oszukańczy spadek obrazów Rafaela, Leonarda, Luiniego, a szczególnie Guido Reni. Drugi kierunek, zwłaszcza odąk w wieku 20 wdarał się do sztuki nuta patetyczna, kładzie nacisk na tragiczną stronę ukrzyżowanego Mesjasza. Wspaniała ohyla „Nabożnego Chrystusa” z Perpignan, niewytkłe martwe ciało Grunewalda i Holbeina są tylko reakcją przeciwko nieznośnej, przesłodzonej manierze; inni poszli w tym samym kierunku, jeszcze o wiele dalej, zbyt daleko.

Toteż dziś gdy chcemy sobie wyobrazić Jezusa, wyobraźnia nasza czerpie natchnienie w sztuce. Czyż Jezus jest tym Panem potężnym a spokojnym, którego wyrzeźbił genialny artysta w Amiens, czyż jest — jak on chce — „Bogiem pięknym”? Czyż też jest to raczej ten człowiek o twarzy nieskończenie pogodnej, którego namalował Fra Angelico w swym florenckim klasztorze, a którego głęboki i przejmujący wzrok każe nam myśleć o owym spojrzeniu, jakie spoczęło na Natanaelu gdy nieznamy człowiek powiedział mu: „Widziałem Cię, gdyś był pod figą”. Pośród tylu obrazów najbardziej wzruszające są te, którym udało się oddać i ludzką tragicz-

ność i nadprzyrodzoną słodycz tego, który powiedział: „Bom nie przyszedł, żebym sądził świat, ale żebym świat zbawił”. Wspinała głowa Chrystusa znajdująca się w muzeum archeologicznym w Beauvais i ta druga, tak tajemnicza przechowywana w muzeum w Cluny odpowiadają temu właśnie podwójnemu charakterowi. Ale czy możemy twierdzić, że nawet te arcydzieła oddają całego Chrystusa?

Trzeba się zgodzić z tym, że każdy naród ma prawo urabiać na swój sposób ten najczcigodniejszy obraz. „Twarz Chrystusa” — pisał w IX w. patriarcha Focjusz — jest inna u Rzymian, inna u Greków, a jeszcze inna u Indian czy Etiopów, gdyż każdy z tych narodów twierdzi, że Pan mu się objawił w tym kształcie, jaki mu jest bliski i zrozumiały. Chrystus o twarzy Chińczyka lub Jezus Murzyn mogą drażnić tylko

tych, którzy zapoznają prawdziwe znaczenie świadectwa Chrystusowego. Że Chrystus, Żyd z urodzenia miał za życia zewnętrzne rysy narodu wybranego, wydaje się więcej jak prawdopodobne, ale to urodzenie związane z tajemnicą przeznaczeń Izraela nie wyczerpuje całego jego posłannictwa; prawdziwym sensem Jego życia jest Jego śmierć. A umierając w Imię najwznioślejszego uniwersalizmu odkupywał, a także w tym momencie wcielał całą ludzkość. Odtąd rozpozna się w Nim każdy człowiek.

Rację mieli ci, którzy od czasów najdawniejszych twierdzili, że Jezus był „uznany za człowieka” i „podobny do ludzi” (Filip. II, 7. 8), że „niczym się nie różnił od drugich” (wrog chrześcijaństwa Celsus), że „miał twarz nas wszystkich, twarz syna Adamowego” (Jan Damasczeński w VIII w.).

Tekst przez długi czas przypisywany św. Cyprianowi, biskupowi kartagińskiemu z III w., wypowiada ostatnie zapewne słowa tych wszystkich poszukiwań: „W was samych zobaczcie mnie powiada Jezus, tak jak człowiek widzi w zwierciadle swoją własną twarz.” Bo ważniejszy od zewnętrznego wyglądu Jezusa, ważniejszy nie tylko w religii, ale i w historii, był ten wysiłek, jaki od dwóch tysięcy lat podejmuje tysiące chrześcijan starających się upodobnić swoją duszę do Jego duszy: wszyscy wiedzą dobrze, że dopiero w dniu Sądu Ostatecznego będą mogli poznać Go już nie „przez zwierciadło, ale twarzą w twarz”, jak mówi św. Paweł (I Kor. XIII, 12) ale wiemy także, że wtedy, aby Go oglądać „jako jest” — będziemy musieli stać się „podobnymi do Niego” (I J. III, 2). (Danieł Rops „Dzieje Chrystusa” Część II)

Apostoł naszych czasów

Coraz częściej i coraz natrętniej domaga się Kościół apostołstw świeckich.

Jednym z nich był Piotr Jerzy Frassati, wprawdzie nie wyniesiony jeszcze na ołtarze jako błogosławiony, lecz jak długi „but” półwyspu Apenińskiego czczony jest imię tego młodzieńca, apostoła wśród młodzieży katolickiej.

Urodził się w Turynie w 1901 r. Krótko trzymał sztandar Chrystusowy w swej młodej dłoni, zmarł w 24 roku życia 4 lipca 1925 r., w czasie, gdy przygotowywał się do dyplomu inżynierskiego.

Przyszedł na świat, gdy dzwony biły na rezurekcję. Radosny głos dzwonów odtąd nieustannie odbijał się echem w jego duszy.

Rósł pięknie i zdrowo ze swą starszą siostrzą, a wraz z rozwojem ciała zachwycał wszystkich, którzy go znali, kształtowaniem się duszy. Żywe, niemal czarne źrenice oczu, harmonizowały z odcieniem opalonej skóry.

Jak każdy z nas miał też swe wady, nie był wzorem cnót wrodzonych. Usposobienie zbyt gwałtowne, upór, niedbalstwo w rozkładzie czasu i brak zamiłowania do porządku.

I on jak inne dzieci kłócił się nieraz z siostrą, a często kończyło się na bóje. Kochał ją jednak bardzo.

Od trzynastego roku życia zaczynają jakby odpadać od niego te wszystkie słabości. Jakie każdy z nas przynosi ze sobą na świat. Piotr Jerzy opanowywał się jedynie siłą woli, współdziałając z łaską. Unosiło go wszystko co dobre i szlachetne, a szczególnie dobroczynność była mu jakby wrodzona, a opierał ją zawsze na czynie. Otrzymał pieniądze na łakocie oddawał ubogim.

Serdeczność, szczerza uczynność wzmagała się jak chłopak rósł. Zalety te jako znaki zapowiadają przyszłą jego naturę. A trzeba dodać, że rozwijał je dobrą wolą, stając się światłem prowadzącym swe otoczenie na wyżyny świętości, stając się bojownikiem o sprawę Bożą — apostołem.

Nauka szła mu nieszczerze. Z II do III gimn. nie przeszedł, ale obiecał ojcu odtąd szczerze się uczyć i słowa dotrzymał.

Od tego czasu rozpoczął się jego duchowe dążenie w zwyczaj Pierwszą Komunię św. przyjął mając lat 10. W kilka lat później Chleb Eucharystyczny był jego codziennym pokarmem. Pod wpływem Komunii św. począł się urabiać charakter przekornego katolika, prawdziwie silnego, który stał się tak wspaniałym dla wszystkich przykładem. Z małego Jurka przeświecał już wyraźnie przyszły Piotr Jerzy.

We wszystkich stosunkach życiowych wyznaczał sobie i innym — prawość.

Biograf jego pisze, że „jest on bezwzględnie wyjątkiem” a jednak jest prawdą historyczną, że nigdy nie popełnił najmniejszego choćby kłamstwa.

Po maturze wstąpił na politechnikę by studiować inżynierię górniczą i przez te ostatnie 5 lat życia wznosił się wysoko ponad szary tłum, świętością życia w całym tego słowa znaczeniu.

Niemal o świecie rozpoczynał każdy dzień modlitwą, w miarę możliwości Mszą św. i Komunią św. Nie było w jego życiu żadnej przyczyny, któraby stanęła na przeszkodzie w wysłuchaniu Mszy św. w niedzielę i święta.

Wyrzekał się tak umiłowanych wycieczek w góry, gdy plan ich nie obejmował Mszy św., a był zapalonym alpinistą i na szczytach Alp tak często intonował pieśni do Niepokalanej, lub głośno odmawiał różaniec, a w namiocie odmawiał klęcząc pacierz codzienny. Byli i tacy co się gorszyli, ale on był odważny, i jednoś myśli i czynów była u niego przekonujący szczerza.

Religię rozumiał zawsze jako zasadę życia, jako światło i siłę zarazem, ona to powinna oświecać i zapładniać każdą działalność ludzką.

Był zawsze pogodny, uśmiechnięty, radość jego miała początek w Bogu, dlatego była wielką i piękną.

Piotr Jerzy nie siedział przez życie rozpychając się łokciami, nawet nie wymyślał hasła, lecz raczej ustępował wszystkim. Często nie wiedział, że przez tę swoją pokorę wysuwał się naprzód, stawał się apostołem.

Jeżeli był cały bez zastrzeżeń konsekwentnie oddany Bogu, nie mógł być inny dla ludzi, dla otoczenia, w którym żył, pracował i bawił się.

Rodziców, a zwłaszcza matkę kochał nad życie. Matka była jego pierwszym powiernikiem i przyjacielem. Bezwzględne posłuszeństwo okazywał matce jako dziecko i później, gdy dorósł, aż do ostatniego dnia życia.

Nauka i w wyższej uczelni nie szła mu łatwo, wyteżoną wolą, usilną pracą składał egzaminy nieraz tylko na stopnie dostateczne.

W Stowarzyszeniu Włoskiej Młodzieży Katolickiej znalazł koło przyjaciół, którzy stali się dla niego drugą rodziną.

W Stowarzyszeniu nie chciał zaszczytnej godności, niechętnie słuchał pochwał. Nie wynosił się ze swego pochodzenia, kultury czy wiedzy (ojciec był ambasadorem).

Umiał być uprzejmy w sposób tak miły, tak delikatny, że w zetknięciu się z Piotrem Jerzym każdy odczuwał jego sympatię, niezwykły szacunek i ufność jaką budziła prostota przegladająca z jego szczerzych oczu.

P. J. Frassati był zawsze pogodny, młodzieńcza radość życia zlewała się w jedną

całość z walorami umysłu i ducha, tworząc harmonię, nad którą górowało szczerze uczucie religijne.

Uślužność swoją posuwał do heroizmu, gdy wspinając się na szczyty górskie ładował na swoje barki pakunki osób wątłych i pogodnych i wesołych nie dał poznać po sobie zmęczenia. W stosunku do koleżanek był bez zarzutu, przyjaźń jego była pozbawiona wszelkiego nawet cienia dwuznaczności.

Cnoty, które nosił w duszy ukrywał jak mógł, nie zawsze jednak udało mu się ukryć miłosierdzie względem ubogich. Oddawał mu się z całą namietnością młodzieńczego zapału, mając pole do działania, w konferencjach św. Wincentego. Nie tracił pieniędzy, czasu i młodości na niezdrowe zabawy, lecz co tydzień odwiedzał ubogie rodziny, dotykał ich ran materialnych i moralnych.

Umiłowanie ubogich, które ukazywało się u wielu — już od dzieciństwa ukształtowało go całego i coraz bardziej rozpalalo mu serce aż do ostatnich dni życia, gdy paraliż rozszerzał się niepowstrzymanie.

Miłosierdzie jego nie miało granic, gdy chodziło o dawanie z siebie, nie żałował skarbów dobroci, ofiarności i przykładu.

Dla siebie nie wymagał nic.

I głód i chłód i zmęczenie i udręka — serca nie była mu obcą, ale nikt nigdy nie dojrzał tego w radosnym cierpieniu, w obojętnym dźwięganiu krzyża, od którego nikt nie jest wolny, a tylko niewiele potrafi go nieść, jak niósł Piotr Jerzy.

Zaledwie kilka dni chorował.

Piotr Jerzy Frassati odszedł do lepszego życia, lecz moc jego czynów po tylu latach pociąga nas coraz bardziej do wstępowania w jego ślady. Dawniej tylko ograniczona ilość przyjaciół korzystała z budującego przykładu Piotra Jerzego, dziś stał się on wzorem apostoła świeckiego ku zbudowaniu całego świata katolickiego. Piotr Jerzy apostołował bezpośrednio, nawet nie swym słowem, ani swym czynem, apostołował po prostu — samym sobą.

W życiu Piotra Jerzego nie było cudów ani objawień, nie nazwisko jego, czy stanowisko rodziców pociągało ludzi do niego, lecz ta silna jego wola, uświęcenie życia codziennego, cnota życia społecznego, łączenie modlitwy z pracą w duchu ewangelicznym i wierność dokładna woli Bożej — była siłą oddziaływania apostołowskiego na ludzi.

Oto apostoł naszych czasów!

Janina Trocka.

Idzie polami Madonna
pokłonie się nisko kwiaty,
i zaśpiewajcie hosanna
w beztroskie błękity.

Krzak róży w cierni owity,
na rąbek Jej szaty
zbudzony rosnym światem,
otrząsa białe kwiaty.

Pobłogosławi, odejdzie cicha
pomiedzy wiejskie chaty,
i słucha uśmiechnięta
jak „Ave” dzwonią dzwony.

A Ona zadumana idzie,
paciorki różańca liczy,
i dłonie ciche kładzie
na łan pszenicy.

Na miodne spojrzysz ule
błękitną mgłą owinięta —
dokoła rój pszczeliny ulatuje,
drużyna skrzydlata...

Tadeusz Haluch.

NIEBEZPIECZNA POSTAWA

Stara to prawda, że życie — w najogólniejszym sensie tego słowa znaczeniu, nie jest ani bezwzględnie złe, ani bezwzględnie dobre, po prostu dobro ze złem zmieszane są w nim na podobieństwo splecionych kłębków białych i czarnych nici. I chociaż spotykamy nieraz ludzi nieskazitelnie dobrych, ludzi świętych, to jednak nie możemy zaryzykować twierdzenia, że oni właśnie nadają charakterystyczny ton życiu. Stanowią raczej rzadkie wyjątki. Ołbrzymia natomiast większość ludzi składa się z jednostek, które obok dużych wad posiadają też swoje zalety, obok sporego ładunku potencjalnego zła — skłonności do świadczenia dobra. Ten obiektywny, łatwy do stwierdzenia stan rzeczy, będący skutkiem faktu skażenia natury człowieka przez grzech pierworodny, powinien bronić przed pochopnym wypowiedzianiem sądów, w rodzaju: „ten człowiek jest z gruntu zły” itp. Bezwzględny pesymizm w ocenie natury ludzkiej jest jak najbardziej obcy duchowi katolicyzmowi. Realizm katolicki nie przynika oczu na złe skłonności tkwiące w każdym człowieku, ale też nie może, aby mógł kiedykolwiek zaistnieć taki człowiek, do którego łaska nie miałaby nigdy dostępu.

Dlatego katolicyzm po przewyciężeniu pesymistycznego manicheizmu stał się systemem religijnym o wybitnie optymistycznym charakterze. Wierzy i ufa człowiekowi. Wierzy, że człowiek ten przy odrobinie dobrej woli może stać się zwycięzcą w walce ze złem, może świadomie i konsekwentnie przewyciężać w sobie niedobre skłonności, uszlachetniać się w duchu chrześcijańskich zasad etycznych.

Katolicyzm jest religią — optymizmu. Niestety, nie można tego samego odnieść do wszystkich jego wyznawców. Wiele katolików zdaje się nie dostrzegać, że życie stanowi barwną mozaikę dobra i zła, że sztuka chrześcijańska życia sprawdza się niemal bez reszty do umiejętnej wędrówki po tej mozaice, tak, aby stapać tylko po kamyczkach dobra, ostrzych czasami i ranliwych stopy, ale dających za to, stuprocentową gwarancję osiągnięcia upragnionego celu.

Gdzie tkwią przyczyny faktu dostrzegania w życiu jedynie strony ujemnej, jedynie brudu, jedynie zła?

Po pierwsze: dobro występuje zbyt często w skromnej postaci, jest nieefektywne, ciche. Czy potrafimy sobie uzmyslić jakąś sumę dobra wyświadcza chorzy cicha i pokorna siostra miłosierdzia, spędzająca całe noce w salach szpitalnych? A jednak to dobro uchodzi publicznej uwadze, tylko nieleżni potrafili by właściwie ocenić. Ocena zła, butnego, rozpychającego się łokciami zła nie następuje takich trudności. Zło rzuca się w oczy. Wielu ludzi w ogóle nie dostrzega dobra. Życie wydaje im się ohydne i wstrętne, godne miażdżącej pogardy. W

ludzkim postępowaniu widzą wyłącznie uczynki nie licujące z godnością człowieka, uczynki u podstaw których stały płaskie, egoistyczne motywy.

Po drugie: pesymiści życiowi nie traktują życia takim, jakim ono jest w rzeczywistości, ale takim, jakim chcieliby je widzieć. Mają oni skrytykowany ideał życia i miarą tego ideału mierzą wszystkie zjawiska. Nic dziwnego, że rzeczywistość w każdorazowej konfrontacji z wymarzoną idealną wydaje się płaska i odrętwiająca. Stąd płynie cały pesymizm, stąd te wszystkie mało-tenckie narzekania na „wstrętne życie”. Narzekania — powiedzmy szczerze — jałowe i niegodne człowieka. Klóci się zresztą taka postawa z zasadami katolicyzmu. Jest to postawa z punktu widzenia ortodoksji katolickiej — niebezpieczna. Dostrzegając tylko zło skłonni jesteśmy wątpić w celowość życia, w Opatrzność Bożą nad światem. Czujemy się zawiedzeni w swoich na-

dziejach, podejrzliwi w stosunku do innych ludzi, stwarzamy wokół siebie atmosferę pustki i samotności. Życie traci dla nas cały swój urok i sens. Staje się naszym wrogiem a nie przyjacielem. Znika nasza otwartość wobec świata, będąca elementarnym składnikiem prawdziwie chrześcijańskiej postawy. Miejsce szczerości zajmuje lękliwa nieufność i sceptycyzm, a z praktykowanej dawniej zasady: miłuj bliźniego jak siebie samego, zostaje tylko żaloszny, nic nie znaczący frazes, puste słowa odarte z treści. My katolicy powinniśmy wytykać palcem zło przy każdej okazji, ale też musimy umieć wylawiać z życia wszystkie momenty pozytywne, umieć dobro otrząpywać z brudu, który zwałczamy i którym się brzydzimy. Musimy wreszcie patrzeć na życie z nastawieniem umożliwiającym nam dostrzeżenie dobra. Maurycy Materlinck, znakomity pisarz, laureat nagrody Nobla, pisał w swojej książce p. t. „Mądrość i przeznaczenie”: „Jeśli patrzysz z upodobaniem na zło, zło zwycięża wszędzie, ale jeśli przywykłeś szukać prostoty, szczerości i prawdy, odnajdziesz na dnie wszystkiego i dostrzeżesz potężny, cichy triumf tego, co umiłowaliśmy”.

Im więcej dobra odnajdziemy w mozaice życia, tym głębiej będziemy kochać i samo życie i ludzi, stanowiących jego część. Przez to my sami staniemy się lepsi i mądrzejsi.

Bo — zacytujmy jeszcze raz Materlincka: „nie można kochać prawdziwie nie stając się lepszym, a stawać się lepszym znaczy nabierać mądrości. Prawdziwym mędrcem jest nie ten, kto wie, ale kto sięgając jak najdalej wiedzę, najgłębiej kocha ludzi”.

W świetle tego, co powiedzieliśmy, postawa pesymistyczna jest niegodna człowieka rozumnie myślącego. Jest postawą, która trzeba zwalczać.

Z KORESPONDENCJI

Czy można przystępować do Komunii świętej z przerwami?

To mi wiadomo, że po każdej spowiedzi mogę kilka razy przystępować do Komunii św., byle mi sumienie nie wyrzuciło grzechu ciężkiego. I ludzie naogół to wiedzą, a nawet korzystają.

Ale na ogół nie wiedzą, czy można z przerwami przystępować do Komunii św.? I jak długie mogą te przerwy być? Czy tylko jeden dzień? Czy kilka? Czy nawet od niedzieli do niedzieli? To ostatnie bardzo by się przydało... Proszę nam tę ważną sprawę wyjaśnić, bo przecież wiele od niej zależy.

Istotnie, bardzo wiele od niej zależy; dlatego chętnie ją wyjaśnimy. W sprawie przyjmowania Komunii św. decydują dwie rzeczy: 1) czystość sumienia, wymagająca wolności przynajmniej od grzechu ciężkiego; 2) dobra intencja, czyli szczerą chęć, żeby przez swoje Komunie św. coraz bardziej swoją duszę uświęcić.

Jeśli zaś chodzi o przerwy, to nie ma żadnego przepisu, żeby te Komunie św. były zaraz po spowiedzi, — nie ma nakazu, że te Komunie muszą być dzień za dniem przyjmowane, bez przerwy, — owszem może być przerwa jedno czy kilkodniowa, a nawet od niedzieli do niedzieli. Takie przerwy nie przeszkadzają bynajmniej przystąpić znowu do Komunii św.

Wcale to przecież nie rzadkie u nas wypadki, że do kościoła trzeba wędrować 6, 7, a nawet 10 kilometrów, trafia się nawet więcej. Wobec takich odległości codzienne bywanie w kościele, a choćby dwa, trzy razy w tygodniu, staje się niemożliwością. W niedzielę jednak wybieramy się na Mszę św. Był ktoś ostatni raz u Komunii św. w poprzednią niedzielę, czy może bez spowiedzi znowu przystąpić? Niech zbada sumienie swoje. Jeśli ostatni tydzień przeżył według przykazań Bożych, a sumienie nie wyrzuca mu cięższych grzechów, tylko drobniejsze: małe nieposłuszeństwo czy kłamstwo, trochę niecierpliwości lub lenistwa lub tym podobne, niech za nie serdecznie Pana Jezusa przeprosi i niech się przygotowuje do Komunii św., bo może spokojnie do niej przystąpić.

Są osoby, dla których ta radosna nadzieja, że będą mogli w przyszłą niedzielę przyjąć Pana Jezusa, staje się hamulcem, by się od grzechu ciężkiego wstrzymać; co więcej, staje się dla nich mocną pobudką do sumiennego spełniania obowiązków, do różnych dobrych uczynków, modlitw i ofiar... Bo Zbawiciel ma przyjść do serca mojego.

A jeśli masz blisko do kościoła? To korzystaj, ale nawet i wtenczas Komunia św. „z przerwami” jest dozwoloną z korzyścią dla duszy. Za to, że Pan Jezus tak bardzo ułatwia sakramentalne połączenie się z Nim, okazujemy Mu wielką wdzięczność, miłujmy Go — i często z wielkim szacunkiem Go przyjmujmy. (P. S. J.)

PIERWSZA KOMUNIA ŚWIĘTA DZIECI W WOLSZTYNIE

Parafia wolsztyńska przeżyła piękną uroczystość w niedzielę Zielonych Świąt. 177 dzieci przystąpiło do pierwszej Komunii świętej. Uroczystą Mszę św. celebrował ks. proboszcz Antoni Gryczka, w czasie której wspólnymi modlitwami kierował ks. wik. Marcinkowski. Przed Komunią św. ulubieniec dzieci ks. Marcinkowski wygłosił podniosłe przemówienie przepięknie budującymi przykładami. Następnie ks. proboszcz Gryczka u stopni ołtarza udzielił dzieciom pierwszej Komunii św., poczym dwóch kapłanów rozdzielało Komunię św. rodzicom i członkom rodzin dzieci i bardzo licznym rzeszom wiernych.

Popołudniowa uroczystość dziękczynna połączona z nabożeństwem majowym odbyła się o godz. 15-tej również w kościele parafialnym. Nabożeństwo to rozpoczął ks. Marcinkowski odpowiednim przemówieniem i odebraniem przyrzeczenia dzieci danego na chrzcie św. Po wystawieniu Najśw. Sakramentu, odśpiewaniu litanii do Matki Boskiej, Tantum ergo i błogosławieństwie Najświętszym Sakramentem, ks. Marcinkowski nałożył wszystkim dzieciom z osobna szkaplerz, w czasie którego wierni śpiewali liczne pieśni maryjne.

Po nabożeństwie udały się dzieci ulicami miasta do siedziby Niższego Seminarium Duchownego, przed którym uwieczniono pamiątką uroczystości wspólną fotografią. Rozdaniem nader pięknych obrazków pamiątkowych zakończono tak radosną i miłą uroczystość, a najpiękniejszy dzień w życiu dziecka. Oby tylko ziściły się w serduszkach dzieci, dziś tak szczęśliwych, słowa na przyszłość: Jezu, Tyś nam tak bliski, Tyś nam tak serdeczny i nie chwilowy Przyjaciel, lecz wieczny, wieczny!

Już od dawna, tak miasto jak i parafia nasze są oddane pod opiekę Matki Bożej. To też Jej szczególnej opiece cieszy się parafia. A chociażby nadmienić takie napozór drobne szczegóły, że po zbyt zimnych dniach, dzień I. Komunii św. był ciepły i słoneczny, a po południu do wspólnej fotografii potrzebna było słońce „usunąć” i rzeczywiście, na chwilę dokonania zdjęć chmurka zasłoniła słońce jak na komendę, a potem znów słońce świeciło...

Nie podobna przy tej okazji pominąć milczeniem faktu, że świątynia nasza tak wewnątrz jak i zewnątrz przybrała nową szatę, odnowiona dzięki niezmordowanemu wysiłkowi czcigodnego ks. prob. Antoniego Gryczki. Przepiękne wnętrza kościoła i iluminacja dają nabożeństwu i wszelkim uroczystościom szczególnego uroku. Radosna uroczystość I. Komunii św. wielkiej liczby dzieci jeszcze nie przebrzmiała, a już nie długo, odprawi się uroczystość prymicyjna syna naszej parafii ks. Józefa Walenciaka.

A wszystko dzięki pobożności i ofiarności parafian, zapobiegliwości i niestrudzonej pracy Ojca parafii ks. prob. Gryczki i... możej opiece Tej, która nigdy nie zawiedzie — Niepokalanej!

(ab)



DREZDENKO

Samo Drezenko to miłe miasteczko. Należy do powiatu Strzelce Krajeńskie.

Kościół parafialny pod wezwaniem M. B. Różańcowej. Zbudowano go w roku 1818, kanonicznie przygotowany 4. I. 1895. Odpust w uroczystość Matki Boskiej Różańcowej, nabożeństwo 40-godzinne 4, 5, 6. VIII. Do parafii należą miejscowości: Bielice Stare, Drezenko, Drezenko Nowe, Grotów, Klesno, Lubiewo, Moczydla, Osów, Pełcza, Radawo, Rapin, Zagórze.

Proboszczem parafii i dziekanem jest ks. mgr Stefan Zagrodzki.

Parafia liczy dusz około 6.000; kościołów do obsługi jest 8; we wszystkich są nabożeństwa w miarę możliwości. Księża dwóch. Są to Kanonicy Regularni z Krakowa. Regułę, która kieruje życiem zakonu, ułożył św. Augustyn. Sam zakon Kanoników Regularnych, powstał w wieku XI. Drezenko objeli Kanonicy Regularni w sierpniu 1945 roku. Pierwszym proboszczem był ks. Władysław Teofil. Po roku odszedł, na jego miejsce przybył w roku 1946 obecny dziekan.

Kościół parafialny w Drezenku jest piękną świątynią. Za czasów niemieckich służył protestantom. Katolicy mieli swój kościół, ale mały — kościół ten zachował się. Poprotestancka świątynia poświęcono 5. VIII. 1945 r. Plebania katolicka w Drezenku zniszczona.

Ponieważ nie było ani szaf, ani naszych liturgicznych, dlatego jedną z największych potrzeb kościoła było sprawienie przedmiotów kultu. Obecnie jest już monstrancja, kilka kielichów, ornaty, kapy. Kupiono kilka obrazów, sprawiono kilka figur i 11 chorągwi. Zaopatrzono w przybory liturgiczne także wszystkie kościoły.

Kościół drezencki zbudowany jest w stylu gotyckim. Wieża z dala widoczna, strzelista, jej wysokość 70 m. Są tu doskonałe dzwony o przepięknej szarmonizowanej barwie tonów. Jedną z firm katowickich nagrywała je nawet na płyty.

W bieżącym roku sprawiono do kościoła nową drogę krzyżową, kanonicznie erygowano ją w pierwszą niedzielę postu. Poprzednią przeniesiono do filialnego kościoła. W ubiegłym roku zrobiono w pięknych ławkach kościoła kłęczniki. Wiele pieniędzy kosztowała naprawa dachu i rynien.

W kościele jest centralne ogrzewanie.

Największy z kościołów filialnych jest w Grotowie. Najwięcej ludzi z miejscowości poza Drezenkiem należących do parafii jest w Niegosławiu, gdzie są każdej niedzieli nabożeństwa.

Znamienne jest powiedzenie proboszcza, że nie pozwoliłby na swoich ludzi nic złego powiedzieć.

Życie religijne rozwija się. Rekolekcje są co roku. Misje były w 1946 r. Prowadzili je OO. Dominikanie z Poznania.

Ze szczególnie wielką uroczystością są odprawiane w Drezenku nabożeństwa majowe. Jest na nich nieraz po kilkudziesięciu ministrantów, jest tak zwana asysta dzieci z poduszkami, liliami, chorągiewkami. Dzieci asystują każdego dnia na nabożeństwach ku czci Bogarodzicy. A już szczególnie pięknie i barwnie wyglądają procesje. Także bardzo wiele ludzi bierze udział w nabożeństwach czerwcowych i październikowych.

W ubiegłym roku pięknie wypadły uroczystości kościelne związane z zakończeniem zniw 15 czerwca. Z całej parafii przybyły delegacje z wieściami w barwnych ludowych strojach.

(ss)

Kościół i świat

— Nowi misjonarze dla Afryki. Z Frankfurtu nad Menem donoszą, że ostatnio 24 misjonarzy niemieckich udało się na pola pracy apostołskiej do Afryki Południowej. W skład tej grupy misjonarzy wchodzi OO. Benedyktyni, Pallotyni i Dominikanie.

— Sp. Jan Szwarzenberg Czerny. W dniu 2 kwietnia 1951 roku złożono na wieczny spoczynek na cmentarzu Rakowieckim w Krakowie zmarłego w wieku lat 78 dr. Jana Szwarzenberga Czernego, byłego prezesa Sądu Okręgowego i wybitnego prawnika oraz niezmiernie zasłużonego obywatela. Zmarły przez długie lat dziesiątki obok pracy zawodowej poświęcał się szeroko pojętej akcji miłosierdzia chrześcijańskiego, pracując niestrudzenie na polu Konferencji św. Wincentego a Paulo, oraz szeregu stowarzyszeń dobroczynnych jak Arcybractwo Miłosierdzia, Towarzystwo Dobroczynności etc. W tej dziedzinie nie szczędził on żadnego wysiłku byle tylko móc przyszyć z pomocą biedzie i niedoli ludzkiej. Czynił to zaś zawsze z największą skromnością osobistą, nigdy nie wysuwając swej osoby i zachowując w tajemnicy to wszystko dobro, jakie zdziałał dla innych. Ewangeliczna zasada miłości bliźniego była dlań wytyczną postępowania w całym życiu, a druga, „by nie widziała lewica co daje prawica”, stanowiła kamień węgielny każdej dobroczynnej akcji.

— O poznanie pojęcia ofiary Mszy św. W licznych parafiach włoskich podczas Wielkiego Tygodnia odbywały się popołudniowe studia liturgiczne zorganizowane przez Stowarzyszenie Chrystusa Króla.

Studia miały na celu zapoznanie wiernych z pojęciem ofiary Mszy św. Podobne wykłady odbywają się także w innych krajach.

— Odbudowa kościoła św. Jerzego w Opawie. W niedzielę 4 marca b. r. odbyła się w kościele św. Jerzego w Opawie na Śląsku Czeskim uroczystość poświęcenia odnowionego historycznego obrazu Najśw. Maryi Panny. Słynny ten barokowy kościół zwany „Perłą Śląska” — skarbnica najcenniejszych dzieł sztuki w tej części Śląska — został ciężko uszkodzony bombami lotniczymi w czasie działań wojennych w Wielki Piątek 1945 roku. Po wojnie kościół pokryto dachem, odbudowano wieżę, wymalowano wnętrza i w 1947 r. oddano do użytku wiernych. Dużą pomoc stanowiły tu dotacje państwowe. Obecnie ku radości wiernych nastąpiło poświęcenie skopiowanego obrazu Najśw. Maryi Panny Opawskiej i zawieszenie go nad głównym ołtarzem. Przed obrazem tym przez całe wieki katolicka ludność tych okolic modliła się, uzyskując stale wielkie łaski.

— Na manewerach poligamii i rozwodów. Z Kairu donoszą, że prasa egipska zaczyna się coraz więcej interesować przepisami islamu dotyczącymi małżeństwa. W opinii publicznej dochodzi do głosu przekonanie, że przepisy islamu zezwalające na poligamię i rozwody niszczą życie rodzinne. Z drugiej strony kobieta egipska wie, że niedza wśród której żyje, jest spowodowana poligamią i łatwością otrzymania rozwodów.

— Nawrócenia wśród Murzynów amerykańskich. Jak donosi francuska prasa katolicka, w ciągu ostatniego roku 20 tysięcy Murzynów w U. S. A. przeszło do Kościoła katolickiego. Uwzględniając te nawrócenia, liczba Murzynów-katolików wynosi 400 tys. na ogólną liczbę 13 milionów zamieszkujących obecnie Stany Zjednoczone. (R.)



Fragment z uroczystości religijnych

O B O W I A Z K O W O Ś Ć

Trudno byłoby sprecyzować, gdzie teza początki organiczne tkwiące w naszej psychice niechęci do obowiązkowości. Tym słyniemy od wieków, potępiamy nas za to inni w rzadkich chwilach skruchy i sami uderzamy się w piersi.

Próbuje się czasem tłumaczyć tę naszą cechę wyjątkowo silnym przywiązaniem do złe pojmowanej wolności, i stąd negatywne ustosunkowanie się do wszystkich przymusów, nakazów, do ograniczeń tej swobody. Błąd zasadniczy. Wolność bez wrodzonej czy narzuconej obowiązkowości — to zwykła samowola. Właściwe rozumienie obowiązkowości jako norm współżycia wzajemnego, jako samokontroli i środka utrzymania dyscypliny wewnętrznej stwarza wprawdzie poczucie i radość wolności.

Nasz stosunek do obowiązkowości jest wybitnie powierzchowny i lekceważący. Nikt nie zaprzecza potrzebie i racji obowiązkowości — ale wewnętrznie znajduje tysiące usprawiedliwień, aby jej się nie podporządkować. W konsekwencjach do jednej z podstawowych cech człowieka wytwarza się stosunek bezgranicznie płytki i naiwny. Wiele drobiazgów nie potrafimy usprawiedliwić, ale nieobowiązkowość niemal zawsze.

Obowiązkowość tymczasem, to jedna z najbardziej kardynalnych cech człowieka. Ona jest podstawą siły i jednostki i zbiorowości. Brak jej w naturalnych konsekwencjach prowadzi do coraz dalszych wynaturzeń, do rozładowania siły wewnętrznej.

Wada nieobowiązkowości staje się nagminną i coraz poważniejszą w skutkach. Tak się do niej przyzwyczailiśmy, że niemal przestajemy ją zupełnie dostrzegać, a przy wyjątkowym fakcie zwrócenia wreszcie uwagi, rozgrzeszamy się z pobłażliwym uśmiechem.

Choćby taka sprawa niepunktualności. Nieprzestrzeganie terminu jest notoryczne. Ba, stało się już czymś tak normalnym, że nawet znaleźlibyśmy na to i normy zwyczajowe w t. zw. kwadransie akademickim, który de facto przestrzegany jest niemal wszędzie, przy każdej do najważniejszej do najbliższej okoliczności. Próbowanie naruszenia tego „zwyczaju” gotowiliśmy traktować jako obrażę.

Podobnie jest z przestrzeganiem terminów. Jakże łatwo czyni się zobowiązania czasowe, a potem równie łatwo ich się nie dotrzymuje, przeciąga, „zapomina” o nich.

NOWOŚĆ

Ukazała się książka Juliusza Nowaka-Dłużewskiego pod tytułem

„STANISŁAW KONARSKI”

Wyd. „PAX” — Warszawa 1951.

Polecamy do nabycia.

MAŁE SEMINARIUM KARMELITÓW BOSYCH

przyjmuje na rok szkolny 1951/2

CHŁOPCÓW ZDOLNYCH I DOBRYCH po ukończonej 7 kl. szkoły podstawowej. Małe Seminarium przeznaczone jest dla chłopców pragnących w przyszłości służyć Bogu i społeczeństwu jako kapłani zakonnicy. Przerabia się program liceum ogólnokształcącego. Nauka i pełne utrzymanie na miejscu.

Zgłoszenia kierować na adres:

Dyrekcja

Małego Seminarium Karmelitów Bosych

WADOWICE

ul. Bohaterów Stalingradu 24.

Zdaje mi się, że już chyba tylko podpis na weksel gwarantuje jaką taką zgodność z wyznaczonym terminem.

Z dnia na dzień odkładamy wykonanie jakichś konkretnych terminowych prac. Usprawiedliwienia znajdują się zawsze. Do najczęstszych należy, „że nie zdałem sobie dokładnie sprawy z trudności itd. danej roboty, inaczej podałbym termin znacznie dalszy”. Ale od czegoż ma się głowę, by o tym wcześniej pomyśleć.

Brak nam poczucia wagi czasu, tak własnego jak i cudzego. Krzywdy wyrządzonej w ten sposób sobie i innym, wcale nie dostrzegamy. A krzywdą ta jest trochę duża. Wymiary jej nawet nie tyle może w jakichś stratach, wymiernych wartościach materialnych, ale w stratach natury psychicznej, wewnętrznej. Brak obowiązkowości — to brak szacunku dla innych i brak szacunku w stosunku do siebie samego. Bo brak dyscypliny wewnętrznej, osłabianie własnej postawy psychicznej, nieudopornianie się przeciw innym wadom, a przeciwnie stwarzanie dla nich przyjaznego klimatu wewnętrznego.

Pewne wady naszego charakteru narodowego uwydatniają się mocniej tylko w pewnych środowiskach społecznych, inne są powszechne, wszechpolskie. Tak jest z obowiązkowością. Student spóźni się na wykład, ktoś inny przyjdzie na konferencję z nieprzepracowanym materiałem, referent opóźni przedłożenie sprawy naczelnikowi, inspektor zlekceważy dokładne wykonanie swych czynności, szofer upije się przed wyjazdem w drogę, pijak przejechał w knajpie tygodniową wypłatę, nie pamiętając o rodzinie, szewc i krawiec nie wykonają w porę obstalunku, tamten zwłecze pilną odpowiedź na list, inny „zapomni” o sprawie, która dla petenta czekającego na załatwienie stanowi może problem zasadniczej wagi życiowej.

Rozmaitości

ILE LAT LICZY MORZE?

Obliczono, że dokładnie 1000 milionów! Bo podobnie jak inne partie kuli ziemskiej, morze formowało się stopniowo, i początkowo woda morska nie zawierała soli; sól nagromadziła się w morzu w ciągu milionów lat, przez rozpuszczanie się minerałów zawartych w ziemi. Jak jednak dokonano tego obliczenia? Otóż biorąc pod uwagę, że znany jest procent soli w wodzie morskiej i że można określić w przybliżeniu ilość soli nanoszonej rocznie do morza przez rzeki, które nieustannie niosą sól wypłukiwaną z minerałów — można dojść do powyższego obliczenia. (R)

MUZYKOTERAPIA

Muzykoterapia, to jest leczenie chorych. (w szczególności umysłowo) przy pomocy muzyki, zwłaszcza klasycznej, stało się ostatnio bardzo modne w Anglii. Trzeba jednak wspomnieć, że nie jest to nic nowego, już bowiem w starożytnej Grecji posługiwano się słuchaniem muzyki jako środkiem leczenia. Miejmy nadzieję, że muzyka klasyczna wpływając leczniczo na za-

Grzeszymy tu na każdym kroku. Nie szanujemy siebie i innych. Lekceważymy wagę poczucia obowiązkowości.

Obowiązki są różnej natury. Jednostkowe i zbiorowe. Rodzinne, społeczne, zawodowe, etyczne itd. Na żadnym odcinku nie jesteśmy w porządku.

Walka o wprowadzenie dyscypliny, wewnętrznej w jednostkę i społeczeństwo nie będzie łatwą. Zbyt wiele pokoleń ją rozluźniło, za dużo się nagromadziło usprawiedliwień. W stosunku do siebie samych nazbyt jesteśmy tolerancyjni, zbyt ostry w stosunku kryteriów oceny do innych.

A nade wszystko brak nam krytycyzmu.

Trudność walki nie usprawiedliwia rezygnacji z niej. Przeciwnie, tymbardziej rozkaz ją rozpocząć. Istotnym jednak zagadnieniem jest mobilizacja środków do starcia, środków na tyle mocnych aby je uczynić zwyciężkami. Pierwszym etapem przygotowań musi być, zdanie sobie w pełni sprawy z istoty problemu. Należać tu będzie przede wszystkim analiza samego siebie, uświadomienie własnych braków i świadome ich zlikwidowanie. Dopiero potem można będzie braki te obserwować u innych i próbować je tam usuwać.

To jest zadanie niełatwe. Siebie najtrudniej jest obwiniać a najłatwiej usprawiedliwiać.

Nieobowiązkowość dezorganizuje nasze życie, osłabia nas wewnętrznie. Twarde czasy wymagają ludzi pełnych, twardych. Ten jest przewycięży, kto tą mądrość potrafi wyrobić.

Jedną z głównych cech charakteru jest silne poczucie obowiązku na każdym z odcinków życia. Rezygnacja z obowiązkowości to rezygnacja ze zdrowej twardej postawy psychicznej.

Eugeniusz Pauksta.

burzenia psychiczne spowodowane nadużywaniem muzyki „swingowej”, złagodzi również i obyczaje wśród podnieconych społeczeństw.



Kościółek murzyński w Kwango (Afryka)

Wydawca: Ordynariat Gorzowski. Redaktor: X. Kazimierz Łabiński.
Adres Redakcji i Administracji: Gorzów n/W., ul. Drzymały 36. Telefon 739.

Rękopisów niezamówionych nie zwraca się.

Prenumeratę przyjmuje P. P. K. „Ruch” Poznań, ul. Kantaka 8-9.

P. K. O. V-11831/110. Prenumerata miesięczna 2,80 zł, kwartalna 8,40 zł

Tłoczono w Włkp. Zakładach Graficznych — Zakład w Kościanie — 744 — 5. 51.

K-2-17040 — 4. 6. 51. Druk ukończono 6. 6. 51.